

Dobrzy ludzie w złej korporacji

19 października 2018

Szczerze? Gdyby nazwisko reżysera „Kleru” nie było znane i chodliwe, to dałabym głowę, że ten film nakręcił autentyczny praktykujący katolik, który „ma marzenie”: o Kościele ubogim, miłosiernym, w służbie ludziom. Wytworzona wokół produkcji atmosfera „ataku na księży” od początku do końca jest nadpisana. Na wszelki wypadek lojalnie uprzedzam, że na potrzeby niniejszego tekstu zamierzam zdradzać fragmenty fabuły.

Film Smarzowskiego ogląda się dobrze, wartko, bez wrażenia dłużyżn. Ma wszystkie komponenty, które kinowy hit obliczony na przyciągnięcie tłumów mieć powinien: jest Temat przez duże „t”, jest wątek miłości, jest kryminalna intryga z szantażem w tle, jest picie na umór i „kurwy” sypiące się z ust szacownych duszpasterzy, jest wreszcie efekt filmu zakazanego, który wyprzedza jego własna legenda.

Ale w przeciwieństwie do „Róży”, „Wołynia”, czy choćby nawet „Drogówki” zostaje z niego w głowie niewiele. Jeżeli chcieliście zobaczyć film o dojmującej samotności sługi bożego czującego fałsz we wszystkim, czemu poświęcił swoje życie; o tym, jak w dzisiejszych czasach duchowni radzą sobie z kryzysem wiary i galopującą świeckością (wypierają wątpliwości? Cynicznie rozgrywiają swoją pozycję? Gdzie szukają odpowiedzi, kiedy bóstwo, do którego wznoszą modły, milczy?); o tym, jak dochodzi do tego, że nagle pociąg seksualny w czterdziestoletnim mężczyźnie zaczyna wzbudzać uczeń VI B – to chciejcie sobie dalej. Smarzowski na te pytania nie udzielił wam satysfakcjonującej odpowiedzi.

Ziew

Owszem, zobaczycie Kościół zepsuty, uwikłany w sieć śmierdzących szwindlami powiązań z politykami, mafią i biznesem. Na górze ociekający złotem i ośmiorniczkami na śniadanie, na dole wydzierający z wiernych ostatni grosz „na nowy dach” i „na nowe rynny”. To nic nowego, te drzwi dawno już wyważono. Takie oblicze Kościoła znamy z „Faktów i Mitów”, znamy z Urbanowego „Nie”, z doniesień o kolejnych pedofilskich aferach, pławieniu się w luksusie czy mieszaniu się w świeckie ustawodawstwo.

Pewnym zaskoczeniem, co widać niemal we wszystkich recenzjach, jest fakt, że okrzyknięty klerożercą i przeklęty już na wejściu Smarzowski, tak naprawdę robi wszystko, by przekonać nas, że jego bohaterowie powinni jednak zostać zbawieni. Że są skrzywdzonymi, skrzywionymi ludźmi, którzy wpadli w koleiny zła, wysokie na metr. Zła, które się instytucjonalnie reprodukuje w Kościele z pokolenia na pokolenie. Problem w tym, że samo odkrycie, iż każde hermetyczne środowisko ma swoje twarde reguły, swoją cenę płaconą za przynależność i złamane kręgosłupy na koncie – nie jest żadnym odkryciem.

Last but not least, nikt nie zadał sobie trudu, aby rozłożyć sam mechanizm działania „złej korporacji” na czynniki pierwsze i pokazać, jak zmieniała się świadomość bohaterów, jak wsiąkali głębiej w odczłowieczenie, co ich po kolei łamało, jak w męczarniach umierały skrupuły i co z nich w efekcie zostało. Dostajemy bowiem obrazek pt. „stan obecny” (alkoholizm, utracjuszostwo, molestowanie dziecka) i za wyjaśnienie ma wystarczyć retrospektywny przebłysk sprzed lat 20 z zakonnicą znęcającą się w bidułu. To trochę za mało, trochę zbyt prosto.

Normalnie z babą

Dydaktyzm niektórych scen, by nie powiedzieć scenek, przyprawia o ból zębów. Rozgrzeszenie od dobrego Pana Boga i reżysera spośród trzech wiodących bohaterów dostanie na koniec oczywiście pocziwy pijanica (Robert Więckiewicz), który związał się z „normalną babą”. Te „grzechy” są oswojone, Polacy są w stanie je księdzu wybaczyć. I dobrze, nic co przaśnie ludzkie nie jest nam obce. Tylko czemu to wszystko takie psychologicznie niewiarygodne, jakby kręcił to Walt Disney?

Proboszcz wiejskiego kościółka od lat drze z kochanką koty, od lat rozbija się autem po pijaku, od lat nie rusza go, że zgarnia ostatni grosz od wielodzietnych ubogich rodzin. Aż nagle – pstryk! – doznaje olśnienia i pędzi na policję sam się aresztować, bo uświadamia sobie, że chyba potracił ojca szóstce smutnych dzieci. Pstryk! – doznaje olśnienia i pędzi szukać ciężarnej kochanki w klinice aborcyjnej u południowych sąsiadów, żeby tylko przypadkiem nie usunęła. Jasne. Nagłe cuda, przemiany na gwizdek i olśnienia na 3, 2, 1 pewnie czasem się w życiu zdarzają, a „miłość wszystko zwycięża”, jednak widz, który wyrósł już z oglądania dobranocek może poczuć się nieco zawiedziony.

Raz w tyłek – zawsze w tyłek

Zbawienie zapuka też do księdza (Arkadiusz Jakubik), który sam wymierzył sobie karę (najcięższą), wcześniej dokonawszy wyznania win przed wiernymi zgromadzonymi na nabożeństwie. To ten, który molestował chłopca, bo sam był molestowanym przez księdza – przyjaciela domu, chłopcem. Znany motyw: sprawca, który został skrzywdzony w dzieciństwie. No, w porządku, ALE... Przy tej historii rodzi się całe mnóstwo pytań: czy grzech reprodukuje się w zakrystiach wyłącznie poprzez ten prosty schemat? Czy sprawstwo pedofilii staje się udziałem wyłącznie byłych ofiar (już „Lolita” Nabokova dowodzi, że nie)? Kto

lgnie do księży? Do kogo lgną księża? Na Boga, panie Wojtku, czemu ograniczył się pan do najprostszej możliwej kombinacji? Demony śpiące w nas mają miliony uwarunkowań, co doskonale pokazano w „Wołyniu”, tutaj jednak dostajemy wyjaśnienie na poziomie „raz w tyłek – zawsze w tyłek”.

Cytując Monikę Płatek: „Pedofilia to przypadłość, której przyczyn nie znamy, a która prawdopodobnie rozwija się w okresie prenatalnym i polega na pociągu seksualnym w okresie przed tzw. pokwitaniem”. Prof. Płatek ubolewa nad tym, że osoby dotknięte pedofilią preferencyjną nie mają w Polsce możliwości, by uzyskać stosowną pomoc i uniknąć krzywdzenia dzieci. Jednocześnie wysnuwa bardzo kategoryczny wniosek, że większość duchownych molestujących dzieci nie jest pedofilami w rozumieniu medycznym, lecz grupą wykorzystującą swoje przywileje do zaspokajania potrzeb w najłatwiej dostępny sposób. To tę analizę powinien wziąć na bary reżyser: pochylić się nad pytaniem, czy do seminariów i zakonów trafiają ludzie, którzy już mają erotyczne bądź miłosne marzenia na temat dzieci, czy dopiero ich „dostępność” te pragnienia budzi, jak ten proces budzenia się pragnień przebiega i czy jest odwracalny.

W historii księdza Kukuły jaskrawo widać też odklejenie Smarzowskiego w kwestii „ludowej” religijności, którą reżyser potraktował bardzo życzeniowo, albo zapamiętał z wczesnych lat 90. Dziś dzieci na religii nie muszą pytać samego zainteresowanego, co to znaczy „pedofil”, bo sprawdziły to już dawno w smartfonach (owszem, elektronika dotarła też na wieś). Mało prawdopodobne, że wzięłyby księdza-sprawcę w krzyżowy ogień pytań, bo mają na niego po prostu wywalone. Podobnie dorośli, którzy chodzą do spowiedzi dwa razy w roku przed świętami zaraz po umyciu okien. To nie „Chłopi” Reymonta, gdzie ludność łka przy konfesjonale, albo drży po skarceniu z ambony. Dziś ludzie mają wiele alternatyw dla zaspokajania metafizycznych potrzeb, jest nią choćby internet.

To oczywiście pociąga za sobą różne skutki między innymi na

poziomie wartości. Dlatego niezłomny kompas moralny rozwścieczonych mieszkańców wsi, którzy biegną z widłami za „zboczeńcem” przez zarośla to oczywiście obrazek urzekający, choć kompletnie odrealniony. Dziś prawa wspólnoty się zmieniły, rozluźniły. Sąsiedzi „nie słyszeli płaczu”, „nie widzieli siniaków”, „nie chcą mieszać się w awantury”, a już na pewno nie stają na rżęsach, żeby wrywać cudze dzieci z patologii. Bynajmniej nie są też zaskoczeni faktem, że ksiądz to żadna istota nadprzyrodzona. Tak dobry obserwator jak Smarzowski musi być przecież tej inercji świadomy. Serio, nawet religijność spod znaku Radia Maryja nie jest tak naiwna, ona zaspokaja przede wszystkim potrzebę bycia żołnierzem jakiejś sprawy: walki z aborcjonistami, Żydami, feministkami.

W siedzibie zła i zepsucia

Ksiądz Lisowski (Jacek Braciak) to inne zło: demoniczne, psychopatyczne, prące po trupach do celu. Jego celem jest posada w Watykanie, to człowiek zafiksowany na punkcie władzy, kontroli, pociągania za sznurki. W środku skrajnie niepewny siebie, nauczony jednak osiągać swoje cele podstępem i cierpliwością. I w sumie ta postać wyszła Smarzowskiemu całkiem nieźle, choć również znajdziemy tu całą masę schematów banalnych do bólu: w toku fabuły też wyda się, że nad małym Lisowskim znęcał się filmowy odpowiednik osławionej „siostry Bernardetty”. Zgodnie z tą logiką bohater musi więc przekazywać krzywdę dalej. O ileż ciekawiej – i po prostu bardziej życiowo – wyszłoby, gdyby zrezygnować z tej prostej zależności i pokazać choćby społecznie nieprzystosowanego odludka, który owszem, jest w stanie załatwić umierającym na raka dzieciom konsolę z lipnego przetargu, ale w skrytości ducha nienawidzi bliskości, gardzi innymi ludźmi i sam się z tym swoim nieprzystosowaniem męczy?

Lisowski na koniec nie dostaje od reżysera aprobaty. Czujemy, że nie odkupił swoich win jak jego dwaj koledzy. Ale dostaje doczesną nagrodę: jego diaboliczny plan się udaje, wysiłek nie

idzie na marne. Wyraźnie czujemy jednak, że bohater dochrapał się do swojej wymarzonej Stolicy Apostolskiej wyłącznie dlatego, że jego przełożeni (m.in. Janusz Gajos) okazali się – przy tym samym poziomie zepsucia – mniej sprytni. Dali się ograć. Tu rzeczywiście wyczuwalna jest gra światłocieniami: przysługi, które faktycznie wyrządza ludzkości Lisowski, dzieją się „przypadkiem” albo są pochodną jego bezkompromisowego dążenia do celu. Ciężko chory syn dziennikarki nigdy nie trafiłby na operację, gdyby bohater nie chciał wykorzystać jej pozycji zawodowej do ośmieszenia niewygodnego przedsiębiorcy. Fioletowy biskup też nigdy nie dostałby po nosie, gdyby nie trafił na bardziej wytrawnego od siebie gracza.

Natura ludzka

Teza Smarzowskiego, że Kościół roi się od ludzi dobrych, ale pokiereszowanych, jest pewnie w dużej mierze słuszna (jest też dość uniwersalna), sęk w tym, że byłaby ona odkrywczą w okolicach 1989 roku (ten wątek przewinął się przez sekundę: na wspomnieniowych migawkach z udziałem wielkiego autorytetu zbuntowanych „Solidaruchów”). Hipokryzja duchowieństwa nikogo dziś nie zaskakuje, dlatego od tego filmu oczekiwałabym pogłębionej analizy motywacji życiowych wyborów bohaterów, wiwisekcji odczłowieczania przez system, czy choćby zastanowienia się nad uwarunkowaniami: zauważmy, że młodzi mężczyźni idą dziś do seminariów z powodów innych niż w np. XIX wieku (bieda) czy po wojnie (poczucie misji, fantasmagoryczna wizja ekumenicznego Kościoła, który łączy, a który dziś przeżywa kryzys). Bardziej wymagający widz nie dostanie odpowiedzi, na których mu zależy. Nie dowie się też wiele więcej o naturze ludzkiej, czy korzeniach zła, niż miał nadzieję się dowiedzieć.

Budująca jest jednak nadzieja, którą dał Smarzowski, twardo opowiadając się za chrześcijańskim porządkiem świata przeciwko Nietzscheańskiemu chaosowi. Nie jest to jednak – mówię to z

żalem – film, który przeora społeczną świadomość. Zostawia głównie poczucie olbrzymiego niedosytu.

Autorstwo: Weronika Książek

Źródło: Strajk.eu